

CZY PROSTE RÓWNOLEGE PRZECINAJĄ SIĘ W PRZESTRZENI?

Andrzej Waśkiewicz

Uniwersytet Warszawski

/// Bruce Taylor. In 90 Days, Where Asia Meets Africa

Książka *Za 90 dni, tam gdzie Azja spotyka się z Afryką*, napisana przez autora ukrywającego pod pseudonimem Bruce Taylor, należy do takiej literatury paranaukowej, jaką zazwyczaj tworzą ludzie nauki, którym standardy jej uprawiania nie pozwalają powiedzieć wszystkiego, co myślą. Czy znamy bowiem wielkiego socjologa, który nie byłby owładnięty jakąś obsesyjną wizją przyszłości, jaka w jego czasach jawiła się ledwie w zarysach, tak że przeczuwał on ją bardziej niż dedukował z jednoznacznych przesłanek? Taylor nie pisze jednak z pasją – pisze ironicznie i na tyle przystępnie, na ile pozwalała mu sama materia. Nie wydaje się jednak, by wzorem Umberta Eco chciał on odnieść wielki sukces poza murami akademii; zbyt wiele jest w książce aluzji zrozumiałych jedynie dla absolwentów nauk społecznych, i to raczej tych ambitnych. Nie jest to też typowa literatura kampusowa, chociaż akcja – jeśli w ogóle można tu o niej mówić – toczy się głównie na uniwersytetach w Grazu i na Hawajach. Zaśmiewając się przy rozmowach wykładowców tego drugiego, można odnieść wrażenie, że książka została napisana wyłącznie dla rozrywki, dla żartu. Czy należy zatem brać ją poważnie?

Kłopot mamy już z samym ulokowaniem w czasie opisywanych wydarzeń, świat przestał bowiem mierzyć czas według jednej rachuby. Mamy więc traktowaną całkiem serio historię „od początku świata” – oczywiście nie ma zgody, czy był to Big Bang, czy boskie *fiat*, i ile lat temu to się stało. Mamy ogłoszoną w Holandii (teraz cały kraj leży na depresji, gdyż poziom wód się podniósł) i uznawaną szeroko w Europie i w Nadbrzeżnej Ameryce erę Maastricht. Są też jednak i tacy anarchiści, którzy uznają wyłącznie czas biologiczny; jest z nimi prawdziwy kłopot, ale zgodnie z zasadami

wielokulturowości nie można ich zmusić do przyjęcia żadnej innej miary. Taki sam problem mamy też z miejscem akcji. Ponieważ nazwa jest zawsze wyrazem symbolicznego panowania, w krajach, które dobrowolnie przyjęły doktrynę Nieograniczonego Postępu, wprowadzono zasadę możliwości jej zmiany przy okazji wyborów (z czego korzysta się skądinąd bardzo rzadko), natomiast w krajach, które się jej opierają, przekornie poszukuje się nazw coraz starszych. (Najstarsza nazwa dla ziem obecnej Polski, czy nam się to podoba, czy nie, to Weischelmark, „Marchia Wiślana”.)

Wydarzeniem, ku któremu zmierzają rozproszone wątki, będzie bitwa poduszkowców na wydzierzawionym od Egiptu na tę okazję przez zwaśnione strony półwyspie Synaj – swoista „ustawka” uzgodniona przez dyplomację dwóch dominujących w świecie zachodnim organizmów politycznych: Królestwa Watykanu i Postkonfederacji Kalifornijskiej. Nie dowiemy się już, jaki wynik przyniesie; książka kończy się o świcie tuż przed jej rozpoczęciem. Wiemy natomiast, że obie strony zobowiązały się w przypadku porażki zliberalizować swoje prawo i tolerować wyznawców prześladowanego dotąd poglądu. Przez 8 lat te dwa „państwa” toczyły ze sobą spór na temat zasad stosowalności geometrii euklidesowej; obowiązują one w elementarnym zakresie czy też w ogóle nie obowiązują? I nie uzgodniwszy nawet protokołu rozbieżności, zdecydowały się zakończyć spór na polu walki. Historia ruszyła więc w powrotną drogę: przemoc zajęła miejsce słowa, ponieważ słowo nie doprowadziło do zgody. Na półwyspie Synaj kończy się ostatecznie mit logokracji. Ale czy po raz pierwszy w historii? Autor nawet nie ukrywa, że inspiracji dostarczył mu Thomas Mann pojedynkiem, do którego doprowadziły ideologiczne dyskusje na *Czarodziejskiej Górze*: główni negocjatorzy pochodzący z wymienionych uniwersytetów nazywają się J.G.A. Tapht (Hawaje) i Alessandro Vertembrini (Graz).

Jak potoczyły się dzieje świata, że doszło do takiej sytuacji? Dowiadujemy się tego z rozmów Zakładu Prehistorii Myśli Socjologicznej Uniwersytetu w Lejdzie, gdyż właśnie socjologia miała w tym swój znaczący udział. Sukcesy nauk społecznych w zakresie przewidywania i modelowania zachowań sprawiły, że przy rządach powstawały, na początku we Francji (wiadomo, dziedzictwo Comte’a), a później także w innych krajach zachodnich, opiniotwórcze Rady Nauki Stosowanej, przemianowane następnie – kiedy nie było już niemal innych nauk – na Rady Nauki. Później już tylko krok po kroku spełniało się marzenie Platona, tyle że to nie filozofowie, a socjologowie zasiedli na tronie, ponieważ przyjął się zwyczaj, że do rządu powoływano wyłącznie osoby z doświadczeniem w tej Radzie.

Walki o miejsca w tych ciałach tak absorbowały uniwersytety, że zupełnie zaniedbały one swoją misję dydaktyczną. Nie budziło to wielkich protestów; i tak wydziały socjologii były od czasów powstania Rad z oczywistych względów najbardziej oblegane na uczelniach.

Historia ta ma jednak swój ironiczny zwrot. Socjologia, podobnie jak pozostałe nauki społeczne, nie oparła się postmodernistycznym trendom końca wieku XX, stąd też w Radach zasiadało coraz więcej tłumaczy, a mniej prawodawców; wszystko to w myśl wskazań Sigmundusa Raumana, wpływowego wówczas uczonego „fotografującego się zwykle z fajką, którą z biegiem lat coraz częściej retuszowano”. Zaczęto oczywiście od tego, że wszystkie teorie uznano za równoprawne. „Wieloparadygmatyczność” socjologii, o której mówiono tyle w drugiej połowie stulecia, stała się nie tylko faktem, ale i forsowaną normą. Z metodami postmodernistom nie poszło już tak gładko, na tym punkcie bowiem nauki społeczne były zawsze bardzo wrażliwe. Ostatecznie przyjęto taką „złotą regułę”, że każda z metod jest wiarygodna, o ile prowadzi do wniosków, do których można dojść, stosując inną. Na początku zasada ta wydawała się nawet dobra, ale z biegiem lat zaczęły się mnożyć nadużycia: metodę kontrolną wymyślano niemal *a posteriori*, by podtrzymać wyniki badań.

To nie mogło pozostać bez reakcji. Zakład Metodologii prowincjonalnego uniwersytetu w Grazu wystosował list otwarty w obronie badań ilościowych i wywołał serię podobnych wystąpień na innych uczelniach (autonomia wewnątrz uniwersytetu posunęła się tak daleko, że każda katedra była w pełni autonomiczna). W Europie powstał swego rodzaju pas biblijny: strefa wiary w pozytywizm (nazywana później przez historyków także obszarem wylączonego środka, ponieważ tę Arystotelesowską zasadę „państwa” te wpisały do swych konstytucji), ciągnący się od Bałtyku po Adriatyk przez Polskę, Słowację, częściowo Austrię, Chorwację i południowe Włochy. W tych krajach do Rad Nauki ciągle należą w większości socjologowie przeprowadzający tradycyjne badania ilościowe i jakościowe, śmiało teorie traktowane są w nich z należyтым dystansem, a w programie studiów nadal figuruje statystyka. Te kraje znajdują się później w orbicie wpływów Królestwa Watykanu i nawet będą płacić świętopietrze.

Czytelników literatury *science fiction*, którzy wiedzą co nieco o historii myśli politycznej, zaskoczy zapewne to, że dominujący w strefie doktryny postępu model polityczny nie jest bynajmniej technokracją; przeciwnie – jest od niej jak najdalszy. Zainspirowani pracami Jamesa Piffkina,

teoretyka polityki z przełomu XX i XXI w., ojcowie-zalozyciele nowych wspólnot politycznych uznali, że jedyną metodą wprowadzania ustaw będzie zmodyfikowany nieco sondaż deliberatywny, wymyślony w ówczesnych USA przez tegoż uczonego. Stały Sekretariat, wspomagany merytorycznie przez wspomnianą Radę Naukową, przemieszcza się więc po całym terytorium kraju i organizuje wśród okolicznej ludności całodobowe debaty (według ściśle określonej i opatentowanej w USA formy), których ustalenia są wiążące dla wszystkich obywateli. By jednak nikt nie mógł być sędzią we własnej sprawie, rolnicy decydują np. o dotacjach dla kopalni złota. Dodać jeszcze trzeba, że za radą Rousseau kraje te nie mają stolic – a to z tego względu, by nie koncentrowała się w nich władza – Sekretariat funkcjonuje więc niczym wczesnośredniowieczny *rex ambulans* (koszty jego utrzymania i przeprowadzenia deliberacji ponosi dany region). Problem integracji społecznej rozwiązano w równie oryginalny sposób. Za radą Saint-Justa, XVIII-wiecznego rewolucjonisty francuskiego, i zgodnie z diagnozą Michela Taffesoliego, socjologa francuskiego przełomu XX i XXI w., każdy z członków społeczeństwa podzielonego na „nowe plemiona” musi raz do roku deklorować przynależność do trzech z nich (dzieci do lat 16 i emeryci powyżej lat 90 do dwóch), co zostaje zanotowane w jego Zapisie Tożsamości.

Niewiele natomiast wiemy o watykańskim systemie władzy – sami poddani Jego Świątobliwości wiedzą też o nim niewiele więcej. Mówienie o państwie watykańskim jest przy tym pewnym uproszczeniem, Watykan znajduje się bowiem pod nieuznaną przez społeczność światową, niemniej po cichu akceptowaną przez nią okupacją włoskich, niemieckich i francuskich anarchistów. Bazylika Świętego Piotra została częściowo zburzona, tak że największa świątynia chrześcijaństwa znajduje się teraz w... Liheniu. Tak, to oczywiście nasz Licheń, bo też i tymczasowa stolica Królestwa Watykanu znajduje się w... Wadowicach (przypominam, że książka wyszła w połowie lat 90. ubiegłego wieku, a więc kiedy papieżem był jeszcze Jan Paweł II). Ale Polska, która jest ostoją tradycji, nie jest wcale jednoznacznie katolicka (niechętna Polsce prasa progresywna pisze, że bardziej wierzy się tu w bigos niż w Boga); opozycja zresztą domaga się wręcz sojuszu z Postkonfederacją Kalifornijską. Islamofaszystowska Wielka Brytania – obecnie emirat manchesterski, który jako jedyny odrzucił doktrynę Oświecenia przez Koran – kusi natomiast rządzących Polską konserwatystów sojuszem przeciw Niemcom i odzyskaniem Serbolużyc i wyspy Uznam.

Niewiele też dowiadujemy się z książki o świecie poza Europą i Ameryką Północną. Wiemy tylko tyle, że sytuacja cywilizacji zachodniej jest tak samo dwuznaczna, jak obecnie – jest ona i silna, i słaba zarazem, ponieważ nie do końca wiadomo, jak silni są potencjalni i rzeczywiści konkurenci. Chiny są nadal wielką niewiadomą, Rosją ciągle (jeszcze przed Putinem) rządzą oligarchowie, w Japonii produkuje się coraz więcej robotów siódmej generacji (człekokształtnych), na Bliskim Wschodzie nowe osiedla izraelskie sięgają już Iraku, w Kolumbii natomiast wyprodukowano kokainę, której nie mogą wywachać amerykańskie psy. Świat poza Europą i Ameryką Północną jakby zafiksował, stanął w miejscu, ale też i one – mimo wszystkich zmian – zachowały coś z lat 90.: Ameryka ciągle szuka swej roli w świecie po upadku komunizmu, a Europa cały czas mówi o swoim kryzysie – dyskutuje się o nim nawet podczas debat oksfordzkich organizowanych przez Opus Dei i masońską Lożę 12 Gwiazd.

Wiele jest w książce tego rodzaju zabawy z historią, nie zawsze zresztą w dobrym guście. Autor opisuje ówczesny świat w taki sposób, by pokazać, że procesy, które mogliśmy obserwować w latach 90., przyniosły, z jednej strony, to, czego wówczas oczekiwano, z drugiej jednak – zgoła nieoczekiwane rezultaty. Czytelników literatury futurystycznej nawykłych do pomysłowych gadżetów wyprodukowanych przez przyszłe pokolenia zaskoczy niewątpliwie ich ubóstwo – technologia w tym świecie niewiele różni się od tej, z której już teraz korzystamy. Dlaczego zmieniła się tak nieznacznie, autor zdaje się pozostawiać już inteligencji czytelnika, ale też nie wymaga od niego wiele, gdyż odpowiedź jest oczywista – ekspansja postmodernizmu zatrzymała rozwój nauk przyrodniczych. „Apel metodologiczny” starego profesora fizyki przypomina tyleż wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego zamieszczone w *Emilu* Rousseau, co prorocstwo Kasandry: dewiza Paula Tayerabenda „wszystko wolno” zaprowadzi was do nowego barbarzyństwa, oglupienia w świecie zabawek. Profesor nie chce brać w tym udziału; popełnia samobójstwo za pomocą... gazu rozśmieszającego wchodzącego w skład zestawu „Zabaw się na śmierć” (aluzja do książki Neila Postmana), kupionego w promocji, dwa opakowania w cenie jednego.

To właśnie wydarzenie, które w narracji książki nie zajmuje wcale uprzywilejowanego miejsca, zdaje się odsłaniać jej moral. Autor być może polemizował z postmodernistyczną socjologią na sposób akademicki, ale w tej książce nie ma już argumentów, a jedynie obrazy, które mają przemówić do wyobraźni. Czy mają jednak wstrząsnąć czytelnikiem? Czytając książkę, nie ma się wrażenia, że ręką autora kieruje przerażenie

przed wizją takiej przyszłości. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby na końcu okazało się, że był to tylko sen wariata. Nie jest to bynajmniej książka katastroficzna. Nie jest antyutopią i nie jest też utopią. Ludzie wydają się być nie mniej i nie bardziej szczęśliwi niż obecnie i czerpią zadowolenie z tych samych powodów. Kapitalna scena wspólnego zebrania Katedry Permanentnej Zmiany Społecznej i małego zespołu Prehistorii Myśli Społecznej Uniwersytetu w Lejdzie pokazuje te same emocje i te same patologie życia akademickiego, które dziś dobrze znamy. Zastanawiające jest właśnie to, że z naszej perspektywy ludzie ci żyją w świecie kompletnie zdezorganizowanym, a jednak dobrze – normalnie – sobie w nim radzą. Jeśli więc fantazja autora ma być antypostmodernistycznym *memento*, to jednocześnie ma też uspokoić wszystkich tradycjonalistów wieszczących w każdej zmianie katastrofę. W końcu konserwatyzm, a w każdym razie jeden z jego nurtów, żywi się wieszczaniem katastrofy.

Napisana w połowie lat 90. ubiegłego wieku książka – tak jak zazwyczaj powieści *science fiction* – wiele mówi o miejscu i czasie, w którym powstała. Na początku lat 90. postmodernizm – cokolwiek by znaczył – także w naukach społecznych był na porządku dziennym; dziś ma już swoje miejsce w historii. To prawda, że wielu badaczy nie wróżyło mu długiej kariery, ale nie można powiedzieć, by fascynował jedynie nowinkarzy. Jednak już wojna w Bośni przypomniła, że historia wcale się nie skończyła, nawet w Europie, i że jeśli nawet jakaś narracja taki koniec zakłada, to trzeba raczej odrzucić tę narrację niż uznać za anomalie kwestionujące ją fakty. Do czasu jak najbardziej tradycyjnej czystki etnicznej, do której dopuścili żołnierze z najbardziej spostmodernizowanej Holandii, filozofujący socjologowie nie zdążyli nawet zoperacjonalizować pomysłu Fukuyamy. W drugiej połowie lat 90. okazało się, że także społeczeństwa, które uznały się za posthistoryczne, nie pogrążą się w nudzie. Historia przyszła do nich w osobach imigrantów z tych części świata, którym narracje dominujące w Europie najzwyczajniej odmawiały historii.

Ponowne uhistorycznienie Europy obudziło z kolei naturę ludzką – taką, jaka ona jest, kiedy nie krępują jej „stalowe kraty więzień i jedwabne sznury politycznej poprawności”. Naturalnie wrogie emocje pozostawały bowiem niewyartykułowane w dyskursie *establishmentu*, ale znalazły sobie rzeczników w osobach Jeana Marie Le Pena, Jorga Haidera czy Pima Fortuyna. Znamienne, że w książce to właśnie uważani za malkontentów pracownicy małego zespołu badawczego Prehistorii Myśli Społecznej przypominają o „granicach uspołecznienia” entuzjastom z Katedry Permanentnej Zmiany. To oni przeciwstawiają oświeceniowym projektom

tradycyjny *topos* niedoskonalej natury ludzkiej, która nie poddaje się procesom socjalizacyjnym. Można powiedzieć, że sam autor uparcie powtarza za Kantem: z pokrzywionego drzewa ludzkości nic prostego nie wyrośnie (to zdanie pojawia się w trakcie egzaminu studenckiego), choć nie ma wątpliwości, że świat pójdzie jednak drogą europejską i właśnie dlatego tak niepokoją go i drażnią fanaberie Zachodu. Zapewne nie byłby tego pewien, gdyby zaczął pisać książkę 10 lat później, już po zamachach w Nowym Jorku.

Charakterystyczne jest bowiem dla autora, że napięcia między Europą a innymi częściami świata nie postrzega on w kategoriach „zderzenia cywilizacji” (artykuł Samuela Huntingtona pod tym tytułem ukazał się w „Foreign Affairs” w 1993 r.), ale na sposób klasycznie oświeceniowy i postoświeceniowy zarazem. Cywilizacja jest jedna – różne kultury tylko lepiej lub gorzej do niej przystają. Nie jest to jednak cywilizacja w stanie kwitującym. Pogląd autora chyba najlepiej wyraża jeden z adiunktów zespołu Prehistorii Myśli Społecznej. Wieszczy on mianowicie Europie *los imperium rzymskiego*: ostatecznie barbarzyńcy założą na jej gruzach własne państwa. Jedno już nawet praktycznie powstało: nieuznawany poza światem arabskim emirat manchesterski. Procesu tego nie można zatrzymać, można go jedynie opóźnić. To właśnie robili mądrzy Rzymianie: wpuszczali jednych barbarzyńców w granice państwa i wykorzystywali ich do jego obrony przed następną falą barbarzyńców. Ostatni Rzymianie mieli już w sobie wiele krwi germańskiej – nie przypadkiem też na czele armii Watykanu stoi gen. Stanisław Le Nguyen, ochrzczony i wychowany w Polsce Wietnamczyk. Była to mądra strategia, ale skuteczna w długiej perspektywie być nie mogła: obrońcy *romanitas* nie wiedzieli, że próbują postawić tamę wędrówce ludów. I znów można zapytać, czy autor podtrzymałby swój pogląd 10 lat później, kiedy okazało się, że programy asymilacyjne imigrantów, zarówno w wersji francuskiej, jak również brytyjskiej i holenderskiej, przynoszą raczej mierne efekty.

Żeby opierać się barbarzyńcom, cywilizacja musi jednak wierzyć w swoją misję; i może właśnie tego brakowało już Rzymianom – stali się masowo postmodernistami. Obrona geometrii euklidesowej to dla cywilizacji zachodniej okopy Św. Trójcy – w XVII w. rozumowanie *geometrico modo* dało asumpt do rozwoju nauki, dzięki której Europa zyskała trwałą przewagę nad resztą świata. Atak na geometrię jest zatem dla autora atakiem na fundament zachodniej cywilizacji. Chichot historii polega więc na tym, że to Watykan, przedstawiony w książce jako instytucja skorumpowana i „światowa” – zepsuta przez świat – musi bronić wartości, których nigdy

nie był entuzjastą. W momencie próby będzie miał jednak tyle mądrości, że za radą ówczesnych jansenistów dopuści do koalicji dawnych zaciekle wrogów. Na lewym skrzydle jego armii zasiądzie więc w swych maszynach Legion Racjonalistów, wynegocjowawszy wcześniej, że na białym sztandarze z napisem *Veritas* dopisze sobie petitem „Bóg jest zbędną hipotezą”.

O 3.42 nad półwyspem Synaj weszło Słońce...

Taka książka nigdy nie została napisana – ale przecież mogła zostać!

/// Pierwodruk w piśmie „Myśl Ponowoczesna” 1997, nr 2.